Nr. 43. We Lwowie, Poniedziałek dnia 27. października. 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Ze Szwajcaryi.

II.

Nie będę po szczególe opisywał tu ciekawych, prawie wszystkich, wzdłuż drogi żelaznej porozsiewanych miasteczek i pojedynczych osad, pięknych krajobrazów, kaskad. Wspomnę jednak o miasteczku Cluses, gdzie obecnie kończy się kolej żelazna, u stóp olbrzymiej skały, które posiada jedyną we Francyi, 1886-go roku założoną, szkołę zegarmistrzostwa. Zegarmistrzostwo jest tu w samej rzeczy bardzo rozwiniętym przemysłem nietylko w samem mieście, ale i we wszystkich okolicznych wioskach.

Z Cluses, tak zwane „berlinki góry Mont-Blanc". przewożą turystę do Chamonix w 4 godzinach i 40 minutach po nader malowniczej drodze, wśród zielonych, owocowemi drzewami wysadzonych łąk, wśród lasu dębów, orzechów i kasztanów, wzdłuż wąwozów i przepaści, w których kotłują się z tłumionym łoskotem bałwany rzeki Arve, rzucającej się poniżej Genewy do Rodanu.

Ze wszystkich przydrożnych miejscowości wspomnę tylko o miasteczku Sallanches, a to dlatego, że ztąd właśnie przedstawia się Mont-Blanc w całym swym niezrównanym majestacie. Sallanches słynie na całą Francyę, ba! na świat cały z niesłychanej liczby idyotów i kretynów, jakby natura chciała pokazać, dla upokorzenia dumy człowieka, głęboką jego nędzę i nicość wobec nieprzeminionej wielkości swojej i wspaniałości.

Ale owóż i Chamonix. Dwie jedyne ulice, jedna wzdłuż, druga w poprzek doliny, oto cała topografia wioski. Chamonix — „campus munitus" — przez długie wieki nie nosiło tego, dziś tak popularnego nazwiska. Dawniej cała dolina posiadała tylko ufundowany w roku 1090 przez hrabiego Genewy benedyktyński klasztor, naokół którego, z biegiem czasu, wzniosło się kilka nędznych chat pod nazwiskiem Le Prieuré. Tę to osadę w roku 1606 ym odwidził święty Franciszek de Salles, wielki apostoł Sabaudyi. Od roku 1869-go, odkąd rząd cesarski uczynił z Chamonix stolicę kantonu tegoż nazwiska, wioska szybko wzrastać poczęła. Obecnie jest ona oświetlona gazem i posiada kilkanaście hotelów, z których połowę do pierwszorzędnych zaliczyć można. Nic tu zgoła godnego uwagi. Kościół katolicki we wsi; w niewielkiej odległości za wsią piękny kościołek protestancki; nakoniec pomnik na cześć de Saussure'a i Balmat'a. Dolina Chamonix ma ze dwadzieścia kilometrów wzdłuż, a przeciętnie dwa kilometry szerokości; położona 1,050 metrów nad poziomem morza, w niebotyczne ujęta góry, z powodu surowego klimatu, nie posiada ona nawet i drzew owocowych. Ze zbcża dojrzewa tu owies, jęczmień, dalej fasola, len, nie zawsze kartofle. Słusznie wielką cieszy się wziętością miód tutejszy ciemno-złotego koloru. Dziś ludność całej doliny wynosi przeszło 4,000 mieszkańców, którzy trudnią się wyrobem serów, eksploatacyą lasów, a także wydobywaniem granitu i porfiru, paleniem wapna, fabrykacyą gipsu itp. W ogóle ludność górska jest uczciwą i nie dała się jeszcze zdemoralizować przez styczność z *ucywilizowanym* światem. Przewodnicy, których liczba dochodzi tu do 250, mają swoją korporację i swego szefa. Lat temu kilka, pewien z nich, nazwiskiem Charlet, chłop tęgi i odważny, a przytem piękny mężczyzna, tak ujął sobie miss Stratton, bardzo bogatą turystkę angielską, że mu z fortuną i rękę swoję oddała.

Wycieczki w Chamonix są dwojakiego rodzaju: tak zwane „przechadzki", bardzo liczne, łatwe, nie nużące nawet dzieci i osób podeszłego wieku, wymagające zaledwo parę godzin czasu — i takie, do uskutecznienia których niezbędną jest wytrwałość i siła, a często nawet i odwaga. Do pierwszych zaliczyć głównie wypada majestatyczny las Bouchet, zaledwo o pół godziny drogi od wioski. Dalej wieczne lody Bossons, których zwidzenie wymaga około trzech godzin, tam i z powrotem. Znajduje się tu wydrążona w lodzie grota, która z całą masą lodu posuwa się ku dolinie. Jak wiadomo, wieczne śniegi nie pozostają nieruchomo na jednem miejscu. Posuwają się one naprzód, niby zamarzłe strumienie. Inne znowu, przeciwnie, cofają się. Jedną także z „przechadzek" klasyczną est istotnie wycieczka do Montanvers i do tak zwanego Morza lodów, wymagająca mniej więcej trzech godzin czasu. To sławne „Morze" przebywa się wszerz z łatwością w pół godziny, poczem inną nadzwyczaj malowniczą drogą powraca się do Chamonix.

Tylko wytrwali i silni turyści ważyć się mogą dojść aż do „Jardin," „les Grands Mulets" (14—15 godzin), a szczególnie na sam wierzchołek góry, o 4,810 metrów pod niebo. Tu Mont Blanc przedstawia jakby olbrzymią piramidę, z pyszną, śniegiem ładowną kopułą, ale tylko od strony Francyi, bo na południe, t. j. od strony Włoch, Mont-Blanc prezentuje się jako posępna, czarna skała.

W ubiegłym miesiącu zwidził górę, w celu naukowych badań, znakomity astronom francuski, p. Jansen. Nadwątlonego zdrowia, a przytem kulawy, nie mogąc wycieczki tej przedsięwziąć w sposób zwyczajny, dokonał ją p. Jansen przy pomocy piętnastu przewodników, na sporządzonych umyślnie dla niego sankach, które jedni z

przewodników ciągnęli, inni popychali, a inni znowu podtrzymywali z każdej strony. Według zdania wielu kompetentnych osób, była to bardzo niebezpieczna wyprawa. P. Jansen przepędził na górze kilka dni i nocy, a jak słyszę, nie brakło mu i na śnieżnych zawiejach.

Życie, jakie górale po wsiach i osadach alpejskich, i w domach, porozrzucanych po szczytach gór, albo w głębi niedostępnych prawie wąwozów, prowadzą, nie jest, z wielu względów, tak łatwem, spokojnem i poetycznem, jak je wyobrażają sobie ci, co, podróżując wygodnie podczas pięknej pory roku, unoszą ze swych wycieczek pełne uroku wspomnienie. Pobożny, a więc uczciwy, pełen zdrowego rozsądku, wstrzemięźliwy, silny a wytrwały, wygląda góral alpejski, jak i każdy inny człowiek, a chyba tylko nieco więcej gburowato. Główna jego charakterystyka polega na wielkiej prostocie obyczajów i energii, jaką rozwijać musi w bezustannej walce z żywiołami, ze straszną, nieubłaganą naturą. Ztąd hart ciała i duszy, ztąd jego spryt i odwaga, posunięta do nieustraszoności. Prostota górskich mieszkańców odbija się szczególniej w zabudowaniach alpejskich dolin. Te chatki (chalets), co tak wiele nadają życia i wdzięku i tak już ślicznemu krajobrazowi, nie wywołałyby tego samego wrażenia, gdyby były zbudowane, jak zwykłe domy, podług prawideł sztuki. Poezya jednak i tajemniczy ich urok znikają i ustępują miejsca zupełnemu za zbliżeniem rozczarowaniu. Ta zdaleka niby siedziba jakiejś zaczarowanej królewny, nie jest najczęściej niczem innem, jak nędzną, niechlujną lepianką, mieszkaniem wspólnem, jedynem, ludzi i bydła, nieraz nawet bez okien, bez komina, z prostym w suficie i dachu na dym otworem. Nad roznieconym w kącie ogniem wisi na żelaznym haku żelazny kociołek, tu i ówdzie kilka glinianych skorup, kilka serów na półkach i coś naksztalt łóżka wzdłuż ściany... A na ścianie, po nad obrazem św. patrona, zegar, a to zegar nie na żarty, nie dla ozdoby tylko, ale z wielką regularnością liczący minuty i godziny tej nędzy.

Monotonne i mozolne życie alpejskich górali, smutne szczególniej podczas długich, śnieżnych zamieci, ma i swe uroczystości, chwile wspólnego w całej dolinie wesela. Gdy we wrześniu wyżyny śnieżnym zabielają płaszczem, pasące się tam od paru miesięcy trzody zstępują do doliny na zimowe kwatery. Okoliczny lud zbiera się tłumnie do kościoła, a po wysłuchaniu nabożeństwa i kazania z apologią pasterkiego życia, i po złożeniu proboszczowi zwykłej daniny w serach i maśle, udaje się młodzież do wyznaczonego lokalu na taniec. Hulatyka trwa aż do białego dnia następnego, a dziewczyna z największą liczbą sińców i z najbardziej otłuczonemi łokciami uważaną poniekąd bywa za „królowę balu.“ boć to oczywisty a dotykalny dowód, że jej na tancerzach nie zbywało...

Wycieczka na księżyc.

(Dokończenie).

Bardziej jednak, aniżeli opisanie krajobrazu i właściwości powierzchni księżyca, interesującą jest kwestya, czyli znajdują się tam mieszkańcy — nam ludziom, podobni? Pytanie to stawiono często już astronomom i jest ono bezsprzecznie usprawiedliwionem, bo nikt przecież nie może przypuścić, iżby pewność, że z tamtej strony ziemi znajdują się myślące stworzenia, nie była dla ludzi ciekawą. Samo badanie księżyca nie da jednakże na to pytanie odpowiedzi. Nasze wielkie szkła astronomiczne przybliżają wprawdzie do nas księżyc, lecz i najpotężniejszy instrument, jaki obecnie jest znany, mianowicie olbrzymia luneta obserwatoryum astronomicznego w Kalifornii, zdoła wśród najpomyślniejszych warunków przedstawić nam księżyc tylko tak, jakbyśmy go zdołali widzieć wolnem okiem, będąc od niego o kilka mil oddaleni. W tej odległości nie jest oczywiście nikt w stanie rozpoznać istoty żyjącej, ba nawet okazały budynek z trudnością dałby się odróżnić. Z drugiej jednak strony musianoby już na pewne rozpoznać miasta, gdyby tam były i możnaby nawet zdać sobie sprawę z jego ogólnych i zwyczajnych urządzeń, jak szlaków drogowych, plantacyj, wałów kolejowych i t. p.: dotąd nie spostrzeżono jednakże nic podobnego. Można więc twierdzić, że, jeśli mogły istnieć na księżycu żyjące twory, to miało to miejsce chyba w zamierzchłej przeszłości, w epoce, gdy na ziemi naszej żadna jeszcze ludzka istota nie postała. Wówczas gościł może księżyc u siebie organiczne życie, lecz dziś jest on martwą, niemą i smutną pustynią. Zanik wszelkiego życia na nim stoi w każdym razie w najściślejszym związku ze zniknięciem wody i z brakiem atmosfery. Życie bowiem organiczne istnieć może tylko tam, gdzie płynna woda się znajduje, jej zaś byt nieprzerwany zależy znowu od istnienia powłoki powietrznej. Gdyby ziemia nasza nie miała powietrza, to straciłaby wnet kroplisto -- płynną wodę i stałaby się musiała tak dzikiem i obumarłem pustkowiem, jakiem jest obecnie księżyc.

Żadne więc oko nie spogląda na pełne grozy i majestatu wspaniałości przyrody księżyca, żadne ucho nie uchwyci dźwięków po nim płynących i żaden nerw nie odbiera tam uczucia zimna lub ciepła. Możemy natomiast łatwo sobie wyobrazić, jakby się nam powodziło na księżycu przez jeden tylko dzień i jedną noc, gdyby było w ogóle człowiekowi możebnem przepędzić tam nawet tak krótki czas. Przypuśćmy, że dostaliśmy się nagle na stronę księżyca ku nam zwróconą i to w czasie nowiu. Widok jaki nas uderzy — będzie niezwykły! Ujrzymy nad głową wielką tarczę świetlaną, trzynaście razy większą od widzianej przez nasze ziemi tarczy księżyca. Tą promienną kulą — jest ziemia! Patrzymy dokładnie na jej dwudziesto-cztero godzinny obrót, odbywający się nieprzerwanie, a oraz na wszystkie gwiazdy niebios po niej zwolna przeciągające. Obserwując ją z księżyca łatwo spostrzeżemy, że ziemia przybrała na siebie rolę księżyca. W czasie jej obrotu, ubywa stopniowo brzeg tarczy ziemi, podobnie jak księżycowi po pełni i gdy ziemia siedm razy około swej osi się obróci, okaże się nam jej tarcza już tylko w połowie oświetlona. Jestto ostatnia kwadra ziemi, widziana z księżyca.

Teraz rozpoczyna swe wszechwładne panowanie ciemna noc: żaden nawet zmierzch nie zapowiada dziennego świtania — wtem zajaśnieje

na wschodzie punkt świetlany, zwiększa się szybko, a po pewnym czasie występują na prawo i lewo złotawo—lśniące plamy. Są to najwyższe szczyty gór, objęte promieniami wschodzącego słońca, podczas gdy niższe płaszczyzny pogrążone są jeszcze w zupełnej ciemności. Wreszcie wznosi się na horyzoncie świecący snop promieni, — to słońce, którego tarcza przybiera coraz bardziej na jasności i wnet wchodzi na widnokrąg w całej okazałości. Po upływie godziny stoi już słońce wysoko, jaśniejąc blaskiem, którego oczy nasze znieśćby nie zdołały, a cała okolica zalaną zostaje oslepiającem światłem. Tylko głębokie otwory wulkaniczne i wąwozy kryją w swem wnętrzu czarne, wzrokiem nieprzebite cienie. Przy tak jasno świecącem słońcu okazuje się ziemia w kształcie wązkiego sierpa na niebie, obok którego skrzą się też gwiazdy. Robi to dziwne wrażenie. Wiele godzin upływa, podczas których słońce wznosi się zwolna na południową wysokość; ziemi ubywa coraz bardziej, aż staje się widoczną tylko jako słabo świecący sierp i wreszcie ginie. To jest południe na księżycu, a w porze tej panują tam tak straszne upały, że w obec nich wydają się chyba palące pustynie afrykańskie, okolicami strefy umiarkowanej.

Tymczasem słońce przekracza już najwyższy punkt południowej wysokości i skłania się zwolna ku zachodowi; ziemia przedstawia się znowu jako wąski sierp. To popołudnie na księżycu trwa przez siedm dni rzeczywistych na ziemi a podczas gdy słońce coraz bardziej ku zachodowi się zniża, staje się sierp ziemi coraz szerszym. Wreszcie ginie słońce z widnokręgu, na księżycu otacza nas ciemna noc, a na niebie świeci ziemia jasno w pierwszej swej kwadrze. Miriardy gwiazd okalają jej świecącą półkulą, lecz one nie iskrzą się, ich światło jest spokojne, ciche i martwe. Zwolna staje się świetlana część tarczy ziemi coraz większą i pełniejszą, aż ostatecznie następuje pełnia ziemi. Wówczas panuje na księżycu północ; temperatura o tej godzinie jest tak straszliwie niską, iż na ziemi nie znają takiej nawet w najzimniejszych głębiach syberyjskich.

Tak wygląda dzień i noc na księżycu.... żaden ludzki organizm i ziemskie stworzenie nie zdoła przebyć takiej doby księżycowej i czyż w obec tego mogą się znajdować na księżycu ludzie, a choćby jakiekolwiek inne żyjące istoty? Odpowiedź na to pytanie, wypadnie tylko przecząco.

X.

Z nowel Tołstoja.

Jak dużo ziemi potrzeba człowiekowi?

1.

Starsza siostra przybyła z miasta w odwiedziny do siostry młodszej na wieś; starsza była żoną kupca — młodsza zaś chłopa. Piły sobie herbatę i gawędziły. Starsza chwaliła się swojem życiem w mieście: opowiadała o swojem obszernem mieszkaniu, jak siebie i dzieci stroi, jakie smaczne jada potrawy, jak chodzi do teatru i t. d. Młodszej było to trochę markotno, starała się więc życie kupca poniżyć, a wysławiała natomiast życie chłopa.

— Nie zamieniłabym się z tobą powiedziała. Życie nasze jest wprawdzie proste, ale bez troski. Wy żyjecie co prawda lepiej, lecz za to albo macie wielkie zyski, albo niszczejecie. Przysłowie mówi: Szczęście i nieszczęście jedną idą drogą. Dziś bogacz, jutro żebrak. Nasz chłopski żywot pewniejszy. Chude życie, długie życie. Nie masz zbytku wśród rodziny — aleś syty co godziny.

— Co mi za sytość! przedrwiwała starsza. Żyć ze świńmi i cielęty! Żyjecie w gnoju i w gnoju pomrzecie, wy i dzieci wasze.

— To i cóż z tego? — oddała z zapałem młodsza.—Żyjemy za to na własnych śmieciach, nie zginamy się przed nikim i nie boimy nikogo. Na was w mieście nieustannie czyha pokusa: mąż twój dziś przepije, jutro przegra, albo zacznie się wdawać z kobietami. A wtedy wszysto przepadło, czyż nie?

Pachom, mąż młodszej leży na przypiecku i przysłuchuje się kobietom. Moja ma prawdę, mówi do siebie. Człeku, co od maleńkiego robi w matce ziemi, nie zachciewa się takich głupstw. To tylko nieszczęście, że tak mało jest tej ziemi. Gdybym jej miał poddostatkiem, nie boję się samego djabła! — A djabeł siedział właśnie za piecem i słyszał wszystko. Ucieszył się okrótnie, że baba napędziła chłopu te myśli o ziemi: gdyby jej miał poddostatkiem, nie boi się samego djabła! Poczekaj, pomyślał. Dam ci dużo ziemi. Złapię cię na tę ziemię!

2.

Uboga dziedziczka sąsiadowała z Pachomem Miała wszystkiego 128 dziesiatyn. Do niedawna żyła z chłopami po sąsiadzku, lecz teraz został ekonomem wysłużony żołnierz, ten dręczył chłopów i dokuczał im karami. Ani się spojrzysz: albo koń pójdzie na pański owies, albo krowa zabłądzi do ogrodu lub też cielęta na łąkę. A za wszystko zaraz kara.

Pachom płaci i płaci, klnie, bije domowników — o, wielce w ciągu lata nagrzeszył z powodu tego ekonoma. Wolał raczej bydło trzymać w zagrodzie, co prawda, żal mu było paszy, ale był przynajmniej wolny od strachu. W zimie posłyszał, że dziedziczka chce ziemię sprzedać i że ekonom stara się ją kupić. Gdy się chłopi o tem zwiedzieli, przestraszyli się bardzo. Jak ekonom zostanie dziedzicem, to karom końca nie będzie. Dalejże błagać dziedziczkę, żeby gminie, a nie ekonomowi ziemię sprzedała. A że więcej dawali, zgodziła się. Chłopi zeszli się na naradę raz, i drugi, nie mogli się jednak porozumieć. Wybuchła niezgoda. Postanowili w końcu, by każdy z osobna kupował, wedle możności; i na to dziedziczka przystała.

Gdy Pachom usłyszał, że jego sąsiad kupił 20 dziesiatyn, zazdrość nim zatrzęsła. Oni wykupią wszystko, a ja odejdę z kwitkiem pomyślał. Poradził się żony.

— Chłopi kupują, że strach, i nam trzeba wziąć z 20 dziesiatyn. Pomyśleli, jakby to zrobić!...

Mieli zaoszczędzonych 100 rubli; teraz sprzedali źrebię, połowę swojej pasieki, wysłali syna na najmitę, i tak wydrapali połowę potrzebnych pieniędzy.

Pachom wybrał sobie tedy 15 dziesiatyn z ładnym laskiem, wytargował je i przybił dłonią. Pojechali do miasta, spisali akt, zapłacił połowę ceny kupna i zobowiązał się resztę spłacić w dwóch latach,—Pachom miał więc ziemię!

Pożyczył pieniędzy od szwagra, kupił nasienia i zasiał kupioną ziemię. Wszystko poszło składnie. W ciągu roku mógł tak sobie myślał, spłacić dziedziczkę i oddać szwagrowi.

Pachom był więc teraz dziedzicem! Płużył własną rolę, kosił siano na własnej łące. Okrótnie go to cieszyło: inną wydała mu się teraz trawa, inaczej całkiem kwitły kwiaty...

3.

Życie mu się uśmiechało. Wszystko bardzo dobrze, byle tylko chłopi uszanowali jego pola i nie wypasali mu łąk. Zaczął z nimi dobrocią, perswazją. Ale oni nie przestali pędzić swoich krów na jego pastwisko, a nocą często zdybywał ich konie w swojem zbożu. Z razu je tylko wypędzał, ale wreszcie było mu tego za wiele i podał skargę do sądu. Wiedział ci on wprawdzie, że chłopi to czynią z biedy, a nie ze złości. Ale jednak, mawiał, nastraszyć ich trzeba, inaczej mnie zniszczą. Nauczą was szanować cudzą własność!...

Uczył ich tedy z pomocą sądu, raz i drugi, i niejeden chłop zapłacił karę. Tak przyszło, że zaczęli na niego z pod oka poglądać, a nawet z często i psocić. Raz zakradł się jeden nocą do lasku i obdarł z kory z dziesięć młodych lipek na kierpce. Jedzie Pachom przez swój lasek, aż tu coś błyszczy na ziemi, zbliża się i widzi wyrwane z korzeniem i obdarte z kory swoje drzewka porzucone na jedną kupę. Wpadł w gniew. Żeby też jedną lipkę łotr zostawił!..· Aj, żebym go tak dopadł—dałbym ja mu łupnia! Myślał i myślał — ktoby to mógł być? Nikt, ino Siemka. Poszedł do niego na zwiady — nie znalazł jednak nic. Ztąd kłótnia. Z tego wziął podejrzenie, że nikt inny, tylko Siemka. Wniósł skargę na niego. Sąd gminny z powodu braku dowodów Siemkę uwolnił, co chłopa doprowadziło do wściekłości, i nawymyślał wójtowi: „Zachęcacie złodziei, powiada. Żebyście sami byli uczciwi, nie przepuszczalibyście złodziejom“. Zadarł ze wszystkimi sąsiadami. Rozszerzył wprawdzie swój dobytek, ale w tej gminie było mu ciaśniej, coraz ciaśniej!

W tym czasie rozeszła się wieść, że moc luda idzie w nowe zdobyte kraje. Pachom myśli sobie: Co ja mam się kowanicy pozbywać? Ale byłoby przestrzeniej, gdyby niejeden z naszych tam poszedł. Zakupiłbym ich ziemię i dołączył do swojej. Tu nam za ciasno.

Kiedy raz siedział w chałupi, wszedł jakiś obcy, przejezdny chłop, prosząc o nocleg. Nakarmił go, napoił, wypytał z kąd Bóg prowadzi; gadało się to o tem, to o owem. Chłop mówił, że wraca z dolnej Wołgi, gdzie chodził za robotą; powiada, że wielu się tam osiedliło; wpisali ich do gminy i rozdzielili po 10 dziesiatyn na duszę: co za kraj! aż rozkosz — jakie zboże. Chłop, co przyszedł goły i bosy tylko z dziesięciu palcami, obsiewa teraz około 50 dziesiatyn jęczmienia. Ot, przeszłego roku przedał jęczmienia za 5000 rubli.

Z zachwyceniem słuchał go Pachom. Myśli: co mam się tu dać zdzierać, skoro tam takie życie? Pal djabli, sprzedam zagrodę i co ino i za te pieniądze kupię gospodarstwo nad Wołgą. Co mi się tu ciągiem swarzyć i markocić. Tobołek na plecy i zwiedzę się na miejscu. Z początkiem lata zebrał się i w drogę: Wołgą na okręcie do Samary, a z tamtąd piechto do 4000 wiorst.

Przybywszy na miejsce, zastał wszystko, jak powiedziano: Dziesięć dziesiatyn na duszę, chłopi przyjmują z ochotą przybysza; ma pieniądze, to może dokupić ziemi, ile zmieści; trzy ruble dziesiatyna, najlepszej.

Zwiedziawszy się o wszystkiem dokładnie, wrócił Pachom jesienią do domu, sprzedał swoją ziemię z zyskiem. sprzedał i chałupę i dobytek, wypisał się z gminy, a skoro wiosna wybrał się z rodziną w podróż do nowej krainy.

4.

Przybywszy na miejsce, osiadł Pachom w wielkiej wsi i wpisał się do gminy. Jak tylko ugościł starszyznę, zaraz oddali mu potrzebne papiery. Przyjęto go zatem i wydzielono dla pięciu dusz, 50 dziesiatyn gruntu, prócz pastwiska. Zabudował się tedy i nakupił bydła. Jaka urodzajna ziemia, a miał jej teraz dwa razy więcej, niż wprzódy. Wszystkiego w bród, bydła mógł teraz trzymać ile chciał!

Z początku wszystko szło najlepiej; powoli, gdy się z czasem wżył, brak mu znów było tego, to owego.

Miękkiej ziemi miał poddostatkiem, ale to ziemia przenna, żyto potrzebuje twardej ziemi. Ta się rzadko zdajduje. nie wystarczy dla wszystkich. W pierwszym roku zasiał Pachom żyto; zeszło ślicznie, zapragnął więc jeszcze więcej ziemi. Pojechał do kupca i wydzierżawił ziemię na rok. Zbiór był śliczny. Ale cóż, kiedy pola były daleko ode wsi, z 15 wiorst trzeba było wieść zebrane zboże...

Widzi, w okół żyją chłopi trudniący się handlem i bogacą się. Toć lepiej myśli Pachom, kupić ziemię, zamiast dzierżawić, i założyć folwark.

W tym czasie natknął na chłopa zrujnowanego, który chciał swoich 500 dziesiatyn tanio sprzedać. W krótce przybili, Pachom miał zapłacić 1500 rubli, połowę zaraz, drugą później. Zaraz potem zajechał na podwórze Pachoma jakiś przejezdny kupiec na popas. Pili herbatę, gwarząc o różnych rzeczach. Kupiec ów opowiadał, że przybywa z daleka, bo aż z kraju Baszkirów; tam zakupił ziemi do 500 dziesiatyn za tysiąc rubli. Pachom go wypytał. Tylko trzeba, prawi kupiec, ich najstarszym nie skąpić podarków. Rozdzieliłem między nich kaftany i dywany, kosztowało mnie to do stu rubli, rozdzieliłem też między nich sporo herbaty, a wódkę pili, ile kto zmieścił. Dostałem dziesiatynę za 20 kopiejek, ot, kontrakt kupna. Pachom pytał jeszcze.

F. Wysocki.

(Dokończenie nastąpi).